

Koniec ery arabskich dyktatorów?

4 lutego 2011



„Trzeba być człowiekiem, a nie śmieciem (...) trzeba mieć odwagę przeciwstawić się złu” – uczy swojego młodszego brata główny bohater książki Astrid Lindgren pt. „Bracia Lwie Serce”. Co mają wspólnego słowa nakreślone przez szwedzką pisarkę przed prawie 40 laty z aktualną sytuacją na Bliskim Wschodzie i Afryce Północnej. Na pierwszy rzut oka absolutnie nic. Gdy przyjrzymy się bliżej historii 26-letniego Tunezyjczyka, który wprowadził w ruch falę niezadowolenia która zmyła ze szczytów władzy Ben Alego i która podmywa szczyty władzy w innych krajach to dostrzeżemy, że jego działanie było podbudowane podobnym przeświadczeniem do tego którymi kierowali się baśniowi Karol i Jonathan Lwie Serce.

Mohamed Bouazizi w momencie gdy oblewał się benzyną i podpalał miał przed sobą jeszcze całe życie. Było to jednak życie bez perspektyw, z czym młody Tunezyjczyk nie chciał się pogodzić. Jego próby znalezienia stałej pracy skończyły się niepowodzeniem więc zaczął trudnić się handlem. Gdy policja zarekwirowała jego produkty, na które wcześniej wziął pożyczkę, całkowicie się załamał i postanowił ze sobą skończyć. Jego akt samospalenia był nie tyle wymierzony w

prezydenta Tunezji, co w system, który nie dość że nie jest w stanie zapewnić mu pracy i środków do życia, to jeszcze go upokarza i odbiera mu narzędzia dzięki, którym próbował zarobić na siebie i rodzinę.

Każda rewolucja posiada swoją ikonę. Mohammed Bouazizi jest bez wątpienia postacią która na długo zostanie zapamiętana na Bliskim Wschodzie i krajach Afryki Północnej. Choć jego akt miał charakter indywidualny, to wiele osób dostrzegło w nim manifestację niedoskonałości systemowych dzięki czemu szybko zyskał on wymiar ogólnospołeczny. Socjologowie ruchów społecznych najczęściej określają taką sytuację mianem procesów dopasowywania schematów. Kiedy obiektywne napięcia zostaną połączone z powszechną świadomością niesprawiedliwości to do wyjścia ludzi na ulicę jest już bardzo niedaleko.

NOWE TECHNOLOGIE I NARZĘDZIA MOBILIZACYJNE

Najnowsze technologie komunikacyjne wyposażają społeczeństwa informatyczne XXI wieku w nowe narzędzia mobilizacyjne. Ten ostatni krok do rewolucji staje się o wiele łatwiejszy w erze Facebooka i Twittera. Nazywanie tego co obserwujemy na ulicach Egiptu i innych krajów Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu mianem rewolucji twitterowej lub facebookowej uważam za przesadne. Bezsprzecznie jednak portale społecznościowe i ogólnie najnowsze technologie komunikacyjne nadały Rewolucji Jaśminowej i jej kontynuatorom w innych częściach Maghrebu i Maszreku dodatkowej dynamiki. Dziennikarstwo obywatelskie, przecieki Wikileaks i reportaże al-Jazeera dolały jeszcze oliwy do rewolucyjnego ognia.

Przejrzyście pokazuje to Tony Curzon Price w swym artykule na Open Democracy. Dowodzi, iż grupy Facebookowe, przecieki Wikileaks oraz blogi pokazują pojedynczym ludziom, że nie są oni samotni w określonym sposobie myślenia o panującym reżimie. Sprawiają, że alternatywna wiedza powszechna i sfera publiczna ulega zakorzenieniu i popularyzacji. W ten sposób krytyka panującego systemu politycznego upowszechnia się.

Decyzja o podjęciu wspólnego działania by zmienić istniejącą sytuację staje się o wiele łatwiejsza, gdyż została przeniesiona do świata wirtualnego. Potem pozostaje tylko upewnienie się, że deklaracje uczestnictwa w demonstracji złożone w świecie wirtualnym przeniosą się na świat realny. 25 stycznia 2011 taka sytuacja miała miejsce w Egipcie. Masowe demonstracje zostały zorganizowane głównie z wydatną pomocą Facebooka i Twittera. Czy ta sytuacja powieli się Algierii, Maroku i innych krajach gdzie mamy do czynienia z podobną mobilizacją internetową przekonamy się już 12 i 20 lutego.

WSTRZĄSY OSTRZEGAWCZE

W dyskusjach o aktualnej sytuacji w państwach arabskich często pada pytanie o to czy to co dzieje się obecnie w regionie można było przewidzieć? W wywiadzie udzielonym tuż przed powrotem do ojczyzny Rashid Al-Ghannouchi – przywódca tunezyjskiej gałęzi Bractwa Muzułmańskiego przebywający od ponad 20 lat na wygnaniu w Wielkiej Brytanii – powiedział, że „przewidywał nadejście rewolucji w Tunezji ale nie tak szybko i nie w takiej skali”. Prawdą jest jednak to, że wydarzenia które obserwujemy od kilku tygodni w krajach Maghrebu i Maszreku zaskoczyły absolutnie wszystkich, łącznie z zasiedziałyymi na swoich wygodnych stanowiskach arabskich dyktatorów. Na tym polegają rewolucje, że zaczynają się w momentach i miejscach, w których najmniej się ich spodziewamy.

Nie oznacza to jednak, że aktualne wstrząsy były całkowicie niezapowiedziane. Jak słusznie zauważa Asef Bayat w najnowszym numerze Foreign Policy takie sygnały niezadowolenia z aktualnego stanu rzeczy na Bliskim Wschodzie oraz nowatorskie sposoby mobilizacji politycznej ponad podziałami politycznymi dało się obserwować w regionie już od dłuższego czasu. Jednym z nich była „Rewolucja Cedrowa” z 2005, która wyprowadziła na ulice Bejrutu ponad milion ludzi domagających się prawdziwej suwerenności, demokracji oraz ukrócenia ingerencji krajów ościennych w politykę państwa i poskutkowała wycofaniem się wojsk syryjskich z Libanu. Innym ważnym wydarzeniem

ostrzegawczym była nieudana rewolucja irańska. Choć ostatecznie śmierć Nedy Soltan i manifestacje innych Irańczyków, którzy nie chcieli pogodzić się z cudami na urną nie przyniosły powtórki wyborów w Iranie w 2009, to zdecydowanie przyspieszyły krystalizowanie się opozycyjnego ruchu społecznego.

NASI UKOCHANI DYKTATORZY

Zachowanie Tunezyjczyków, Egipcjan i Jemeńczyków w ostatnich tygodniach – żeby wymienić tylko te społeczeństwa które najbardziej dają się we znaki swym elitom władzy – zadają kłam dość powszechnemu na Zachodzie przeświadczeniu, że społeczeństwa arabskie cechują się swego rodzaju sympatią do władzy autorytarnej i dyktatorów. Tego typu przeświadczenie jest nie tylko niezgodne z historią regionu, która uczy nas o wielu protestach zbiorowych przeciwko autorytarnym rządóm (np. demonstracjach studenckich przeciwko monarchii egipskiej, rewolucji irackiej 1958, czy algierskiej walce o wyzwolenie), ale również odbiera podmiotowość mieszkańcom regionu. Sprawia, że nie są oni postrzegani jako aktorzy historyczni lecz jedynie jako kukiełki w rękach dyktatorów.

Jednocześnie zapominamy o tym, że największą sympatią do bliskowschodnich i północnoafrykańskich autokratów pałają nie tyle ich własne społeczeństwa, co kraje Zachodu, które robiąc z nimi interesy chcą mieć do czynienia z wypróbowanymi i przewidywalnymi partnerami. I tak w imię niezakłóconych dostaw ropy jesteśmy w stanie przymknąć oko na nawet najbardziej despotyczne rządy w regionie (patrz np.: Libia czy Arabia Saudyjska).

W ostatnich tygodniach okazało się również, że społeczeństwa Zachodnie wolą dyktatorów, gdyż oni potrafią zagwarantować, że ich urlopy na słonecznych plażach Tunezji, Egiptu i innych krajów regionu będą przebiegać bez komplikacji. To, że życie obywateli określonego kraju będącego miejscem wypoczynku urlopowego Europejczyków dalekie jest od obrazów z folderów

turystycznych przeciętnego Iksińskiego mało interesuje. Dla niego bowiem ważne jest żeby woda w morzu była ciepła i żeby strawa hotelowa była smaczna. Taka retoryka, z którą można było się ostatnio spotkać w niektórych tytułach, nie nadaje się nawet na komentarz.

ISLAMISTYCZNE STRACHY

Warte skomentowania są natomiast próby rysowania wizji regionu porewolucyjnego opanowanego przez muzułmańskich radykałów. Przez lata tego typu strategię legitymizacji swoich despotycznych rządów stosowali regionalni autokraci. Teraz próbują to robić niektórzy dziennikarze i politycy między innymi porównując powrót wspomnianego wyżej Rashida Al-Ghannouchi do Tunezji do tryumfalnego powrotu Khomeiniego, lub wyolbrzymiając rolę Bractwa Muzułmańskiego w wydarzeniach z którymi mamy do czynienia w Egipcie. Tunezyjczycy nie po to pozbywali się Ben Alego, żeby wprowadzić u siebie hierokrację w stylu irańskim, która jest im obca nie tylko religijnie ale i kulturowo. Egipcjanie natomiast już dość dobrze poznali blaski i cienie organizacji i ruchu społecznego założonego przez Hassana al-Bannę żeby powierzyć stery władzy wyłącznie elitom religijnym.

Z pewnością fala demokratyzacyjna która przetacza się przez kraje arabskie sprawi, że elity religijne będą miały większy wpływ na kształtowanie polityki regionu. Analizując twórczość najmłodszego pokolenia ideologów islamu politycznego z regionu, jestem przekonany, że będzie to jednak polityka bliższa modelowi demokracji tureckiej Erbakana i Erdogana, niż hierokracji Khomeiniego.

WYSOKA CENA WOLNOŚCI

Znajoma Egipcjanka napisała do mnie przed kilku godzinami, że „sytuacja na ulicach Kairu prezentuje się dramatycznie, a każdy dzień niestety dowodzi że cena wolności jest bardzo wysoka”. „Wierzę jednak głęboko – pisze Sarah – że za kilka

lat będę wspominała te chwile z uśmiechem i dumą myśląc o nagłym wybuchu uczuć patriotycznych, solidarności oraz wytrwałości narodu w starciu z tyranią, kłamstwami, a nawet śmiercią." Oby wolność wywalczana na ulicach Kairu nie była okupiona, aż z tak licznymi ofiarami. Oby nawet najbardziej zasiedziali dyktatorzy potrafili oddać władzę.

Wydaje się, że dla Egiptu dzisiejszy dzień (piątek 4 lutego) może być w tym względzie decydujący. Zdławienie protestów przez Mubaraka (między innymi za pomocą bojówek napadających na demonstrantów) oznaczać będzie podcięcie skrzydeł dążeniom wolnościowym w całym regionie. Zwycięstwo osób zgromadzonych na kairskim Placu Wyzwolenia sprawi, że fala demokratyzacji popłynie dalej ze zdwojoną siłą i dokona jeszcze dekonstrukcji władzy w wielu innych krajach Maghrebu i Maszreku.

Autor: Konrad Pędziwiatr

Zdjęcie: [Dan](#)

Źródło: [Arabia](#)